

B E M

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

30

— Milczeć jeden z drugim! Galony oderwę, na cztery wiatry! Do ciurów, do szczygłów! Armaty nie dam pować! — Niema podporucznika! Niema podoficerów, ogniomistrzów! — Na koniach pójdziecie! Pod sąd! Ja was nauczę! Degradacja! Kazamaty, panie dziu! Co? — Milczeć! — Napad?... I toto imię Zarzycki, lizusek, marcypanek...

— Bo niech kalumni nie pisze! — ozwał się z desperacką odwagą Zarzycki.

Kapitanowi w gardle zacharkotało.

— Niech dowódcy naszemu...

— I dlategoś aciu bezbronnego człeka mordował?

— Aby... aby mu krzyża atramentem zmaczałem.

— A gwardziści bagnietami do nas! — Kamienować chcieli! Pan podporucznik sam pilnował, aby płazować! — Dwustu na jednego szło! — jeśli uskarżać się artylerzyści.

Kapitan zachnął się i piorunami zaklął — gdy nagle, od strony wjazdu na dziedziniec, wybuchnęła wrzawa.

Orlikowski porwał się do bramy.

Artylerzyści spojrzeli po sobie przerażeni.

— Cma za nami!

— Za stajnię i opłotkami w pole!

— Inaczej kajdanki!

— Niema co! — wrzasnął podporucznik. — Co to!? — Wystrzał! Grają na alarm! — Bierz dyable, co swoje! Za mną chłopcy!

I kompania pomknęła do bramy.

Tu dopiero sprawców napadu na Psarskiego ogarnęło drżenie. Bo nie dość, że dla odparcia ścigających ich mieszczuchów, szyldwach zaalarmował koszary, niedość że tłum szukających pomsty rósł, huczał, groził ku utraeniu gwardyi narodowej, która usiłowała go odeprzeć, lecz nadomiar nad pogłowiem zarysowała się postać samego wice gubernatora na koniu.

Iliński, widząc co się dzieje, pożałował niewczesnego posłuszeństwa dla alarmowej trąbki. Kapitanowi Orlikowskiemu bowiem, formującemu żołnierzy swych, nie nie groziło, natomiast ku nim nadchodziła chmura brzemienna gromem. A o cofaniu się, o desperackiej dezercyi ani, ani marzyć już nie było można. Sygnały bowiem, zwabiwszy zawadyacką szóstkę, wnet ją uwięziły w szeregu, odcięły jej myśl o odwrocie.

Tymczasem wraz z ukazaniem się wice gubernatora i wartkiem jego przemówieniem, tłum zawiwował i uspokoił się.

Iliński rażniej ku Zarzyckiemu spojrział, ale wnet oczy mu na dobre zmiotniały, bo wice gubernator, uporawszy się siako tako z tłumem — wpadł na Orlikowskiego i nie zważając na należne mu honory, zakrzyknął gniewnie:

— Kto tu dowodzi?

— Kapitan Orlikowski w zastępstwie pułkownika Bema.

— Gdzie są ci rozbójnicy?!

Orlikowski wyprostował się.

— Nie rozumiem, generale.

Ruttié rzucił się na kulbace.

— Jakto kapitan nie rozumiesz?

— Widzę jeno tłum, ośmielający się...

— Z winy pańskich podkomendnych...

— To jeszcze niedowiedzione!

— Najzupełniej. Hej tam, którzy byli świadkami!? — Dawać ich! Kompania gwardyi, zrewidować koszary!

Najbliższy oddział piechoty ruszył ku wjazdowi, gdy równocześnie Orlikowski zakomenderował na swoich żołnierzy:

— Bacność! — Czwarty i piąty pluton do armat! Na pozycję zataczaj!...

Koń pod generałem dał susa.

— Co kapitan?!

— Nie dam rewidować!

— Wasze straciłeś zmysły! Wiesz, z kim mówisz?

— Mam honor, generale.

— Zbrodniarze muszą być pojmani. Napad zbójczy, w biały dzień, na spokojnego obywatela, sporniewieranie porucznika! Tu się salwowali — z artylerji konnej gwardyi byli!

— Nie może być.

Ruttié nie posiadał się ze złości.

— Są świadki. Inaczej nie może być! Rozkaz.

— Uchybiający czci i godności bateryi!

— Kapitan chyba nieprzytomny! Nie rozumiesz, co się dzieje! Widzisz ten tłum? Uspokoilem go zaręczeniem, że winni będą uwięzieni! Pół miasta wzburyli. Dziesiątek ludzi porabiali. Tu za nimi, do tego wjazdu goniono.

— Nie przeczę, generale!

— Więc są!

— Nie ma ich!

Ruttié kiwnął się po koniu, tracąc ostatek cierpliwości, wobec tego niestęchanego uporu.

— Ady właśnie stoi najgorszy! — dopomógł generałowi jeden ze świadków, wskazując na Ilińskiego.

— Ten podporucznik?!

— Tak, tak! On siek! On prowadził!

— Proszę wydać tego pana straży! Aresztuj go! Słyszysz, co powiadają.

— Podporucznik jest w porządku! Naznaczył jedynie tych, co wazyli się uchybić pułkownikowi dowódcy bateryi!

— Nie pański sąd! Dosyć! Podporucznik, wystąpić z szeregu!

— Tój!

— Bunt! Bunt! — zapienił się generał. — Ja acana nauczę! — I ty i twój pułkownik razem i cała wasza buntownicza baterya... pod bagnietami...

— Ma dwanaście armat!

— Co?!

— Gotowych do strzału, generale!

XVII.

Zajście u Honoratki i jego następstwa z niefortunnym imci Psarskim i nakoniec z krnąbrnością niepojętą kapitana Orlikowskiego, miało zgola osobliwy skutek. Alarm bowiem, uczyniony przez wice gubernatora, miał skłonić rząd i wodza do surowości, do ukarania śmiałka, do dania innym odstraszającego przykładu, skończył się na wysłaniu dziesiątka sztafet i na oświadczeniu Skrzyneckiego, oświadczeniu, z którego raczej płynęło uznanie dla „wolności kijów“ niż potępienie ich. Prawda, minister wojny, w pierwszym impecie, adjutanta swego na śledztwo do bateryi buntowniczej wysłał, lecz że adjutant, miał protokół, przywiózł wiadomość, że baterya stoi w pogotowiu i aż drży na potwarco Bema — więc jakoś i minister stracił przekonanie do śledztwa dalszego.

Co dziwniejsze, że gdy na wieść o tej chryji już pióra skrzypiały, aby bronić swobody przekonania obitego imię Psarskiego — niewiadomo skąd i jak wzmożła się estyma dla pułkownika Bema i to jednocześnie i w kancelaryi rządu i w kwatremistrzostwie i w sztabie wodza naczelnego.

— Bem ma zachowanie! — Bem stanowi nie-lada siłę! — Bem wiele mocen!

Co najgodniejszym zaś było uwagi, że już o świecie pośpieszono sprostować fatalną pomyłkę dowódcy straży, który ośmielił się tak nieposzlakowanego oficera zatrzymać między więźniami.

Pułkownik sam nie wiedział, czyli gniewać się ma, czy śmiać z przygody, która mu się wydarzyła. Toć sędzia Łanowski mało nie płakał ze zmartwienia, sumitował się komendant, sam gubernator w pomstowaniu na nieład wyręczał Bema a nieszczęsny służbista, porucznik Siłnicki pod ziemię ze wstydu się zapadł.

I Bem powrócił do swych izdebek zmęczony, lecz uspokojony, pogodny, jak człowiek, który zły sen prześniwszy, spocznienia w nim nie znalazłszy, nie dba o ciała słabość, radując się, że jawy nie przeżył, że marą się dręczył.

Krótkotrwałą atoli była pogoda pułkownika. Bo ledwie wytchnął, ledwie wspominał, co i jak począć dla pani Anny, gdy nadszedł doń raport od kapitana Orlikowskiego, raport przyniesiony mu przez przebranego po cywilnemu ogniomistrza.

Bemowi w oczach pociemniało. Osunął się bezwładny, przybity, na stołek swój przy swym stole rysunkowym i utkwiał szklisty, zdrętwiały wzrok w przestrzeni...

Tuż przed otwartem oknem izdebki pułkownika śmiał się doń, zalany słońcem i ciepłem ogródek. Tuż ku Bemowi chwiały się pędy klonu, targane nóżkami baraszkujących wróbli. Echa hałaśliwej dziatwy, bawiącej się w żołnierzy na dziedzińcu pobliskim, szły w zawody z świergotem niefrasobliwym ptaszat. Rąbek błękitu, jak turkus, nieskażony ludzkim technieniem, czystego, poglądał na pułkownika, wabił, napęlić go niby pragnął swą mocą, swą wiarą w przyszłość.

Dusza Bema tonęła podczas w mrokach.

Pułkownik przetrwał tak godziny, wieki.

Aż głos gardłowy, niepewny a natrętny, ocknął go.

— Respons?

Oczy Bema zaparły się przez chwilę na ostatnim zdaniu raportu Orlikowskiego: „Baterya, z lontami zapalonymi, czeka na rozkazy swego dowódcy — ozwał się do pułkownika raport“.

Bem potrzęsnał smutnie głową, ujął za pióro i nakreślił w odpowiedzi Orlikowskiemu: „Dziękuję, nie mam nic do rozkazania, nie jestem dowódcą“.

Tymczasem Warszawa, po rozruchach ostatnich, nagle uciszyła się, uspokoiła, jakby wytrzeźwiała. Daremnie hukaly na alarm ulotne pisemka, daremnie perorowali po kawiarniach samowzwańczy trybunowie, lud naraz zobojetniał dla nich, ochłodził. A natomiast całą swą uwagę zwrócił na echa nie milknących wiadomości o ruchach, pochodach, szachowaniu się wzajemnem zmagających się wojsk.

Lud warszawski atoli i w tym kierunku był teraz powściągliwy, mało mówny i nie skłonny do uniesień.

Wódz naczelný razem z Chrzanowskim wodzili się na odmianę z korpusikiem Gołowina, podchodzili go, osaczali, czaili się nań zgola strategicznie, zadawali mu cios śmiertelny w przededniu starcia a w momencie bitwy pozwalali mu ujsć cało.

Po kilkakroć wszystko było wyliczone, każdy pagórek, zagajnik, rów, karabin, nabój był zrachowany. Po kilkakroć arytmetyka sztabowa dowiodła, że Gołowin co do nogi wycięty w pień będzie... I daremnie.

Na siedem tysięcy Gołowina prowadził Skrzynecki dwadzieścia tysięcy żołnierza bitnego, rwącego się do rozprawy na ostre.

Ale cóż, arytmetyka była arytmetyką a zmore zmore. Tak, bo od wyprawy na gwardye zmore prześladowała naczelnego wodza, żarła go, zaprzętała myśl swarami, inwidyami, niweczyła plany, rozbijała kalkulacje.

Tu sztafeta się spóźnił, tam zaspał generał, owdzie, w decydującym momencie, nowa kombinacja objawiła się Skrzyneckiemu, gdzieindziej dwóch dygnitarzów się przemówiło — i w niwecz szedł płon spodziewany.

Żołnierz obocznie jełczał, niszczał, marnował siły na daremnych marszach i kontrmarszach, pędził zziąjany do tego samego Płońska, Garwolina, Kałuszyna, Siennicy, z których był ledwie powrócił i po to, aby bez wystrzału, bez racyi, bez celu znów powędrować na Pragę.

I żołnierz posępniał, chmurniał, drętwiał.

Niekiedy jeszcze, gdy przed frontem jawił mu się wódz naczelný, gdy ozwał się doń gromko, gdy mu zagrzmiął wezwaniem „umrzem lub zwyciężym“ — żołnierz, jakby budził się...

Na krótko atoli, bo podobno w rozstrzygającej chwili, sam Skrzynecki zapominał o swem zakleciu, bo podobno i on budził się, lecz tylko w obliczu parad, mszy polowych, przeglądów i biesiad.

Na jawie dowództwa swego Skrzynecki nie widział dla się już ani śmierci chwalebnej, ani zwycięstwa — jeno pogrom, pogrom wychylający się doń z każdej bitwy, z każdego starcia. Na jawie Skrzynecki już wierzył jedynie bałamuctwom o interwencyach, potencjach, niemieckich sympatyach, francuskim braterstwie broni, tureckich janczarach i angielskich korwetach, na jawie Skrzynecki pragnął wygrać na czasie, przeciągnąć wojnę, nacieszyć się jeszcze honorami i adjutantami naczelnego wodza.

Paszkiewicz wojsko przeprowadził na lewy brzeg Wisły, zwierzał ramiona korpusów na zamknięcie Warszawy pierścieniem — Skrzynecki bawił się w chowanego z korpusikiem Gołowina.

Na tem zesła wojsku polskiemu większa część lipca.

Przez trzy tygodnie Warszawa czytała z dnia na dzień, że Rybiński idzie tam i tam, że Chrzanowski stąd atakować będzie a Małachowski z owąd, że główna kwatera była tu a jest już tam, że znów się odznaczyli nasi strzelcy, że równych polskim ułanów na świecie nie ma, że wódz naczelný przed frontem uściskał jakiegoś nowonarodzonego bohatera i *virtuti militari* krzyżem go naznaczył, że słowem wojsko nie przestaje składać dowodów poświęcenia a wódz dzielności. Aż po trzech tygodniach tego rodzaju wiadomości wróciło wojsko na Pragę i wróciło z dotkliwym ubytkiem w szeregach, odseńdionymi końmi i wiadomością, że Gołowin Gołowinem został.

Warszawa jednak nie dała tym razem posłuchu wyrzekaniom na Skrzyneckiego. Bo myśl jej, bo serce gorzało pragnieniem czynu.

Powrót wojska na Pragę wyprzedziła wieść, że Paszkiewicz przebył Wisłę i że idzie od Nieszawy, na dobywanie stolicy.

Rząd narodowy do Warszawy się ozwał: „Nieprzyjacieli, wszędzie ze stratą odparty, usiłuje z dru-